

Antoni Błażewicz

Urodziłem się w Szlisselburgu koło Petersburga w 1919 roku. Rodzice: Piotr Błażewicz i Stanisława, z domu Ponikowska. Rodzice moi w czasie zawieruchy w pierwszej wojnie światowej znaleźli się na tym terenie przypadkowo. Ojciec Piotr urodził się w Przydrujsku nad granicą polsko-łotewską. Wtedy, kiedy on tam mieszkał, to należało do Rosji Carskiej, do 1919. Po wybuchu pierwszej wojny światowej został wcielony do wojska rosyjskiego, prawdopodobnie gdzieś w 1915 roku, i był na froncie. W 1917 roku w czasie rewolucji wrócił z wojska i zatrzymał się w Szlisselburgu, dawnej twierdzy. Zaczął tam pracować w fabryce prochu i amunicji.

Matka Stanisława urodziła się koło gór Świętokrzyskich w Słupi i jako osoba do dzieci pracowała w rodzinie rosyjskiej w Warszawie od 1913 roku. Po wybuchu wojny rodzina rosyjska ewakuowała się do Petersburga i zabrała ze sobą moją matkę jako opiekunkę do dzieci.

Rodzice poznali się w Petersburgu i pobrali się w Szlisselburgu. Tam urodziłem się w 1919 roku.

W czasie rewolucji panował głód, matka nie miała pokarmu i poila mnie herbatą zamiast mleka. Nabawiłem się przez to krzywicy. W Szlisselburgu urodzili się moi dwaj bracia. W Rosji, potem już w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich przebywaliśmy do 1923 roku, potem pozwolili repatriować się do krajów bałtyckich, ale do Polski nie. Nie pozwalali, bo mimo wszystko do Polaków czuli niechęć, przecież przegrali wojnę w

1920 roku i z pod Warszawy ich gnali. Ojciec wtedy miał paszport i akt urodzenia i tam było pisane, że jest z Przydrujska. Jak powstały państwa bałtyckie, ojciec mógł do Łotwy wyjechać. Starania trwały bardzo długo.

Zatrzymaliśmy się ostatecznie w Rydze, gdzie ojciec dostał pracę w fabryce kleju i mączki kostnej. W Rydze kilkakrotnie zmienialiśmy mieszkanie. W międzyczasie urodziła się siostra, to był 1924 rok. Myśmy mieszkali na przedmieściu, gdzie było bardzo dużo Rosjan. Nazywało się to Moskiewskie Przedmieście i tam po rosyjsku nauczyliśmy się mówić lepiej niż po łotewsku. Później w szkole i w towarzystwie łotewskim, w jakim się obracaliśmy, żeśmy się nauczyli mówić poprawnie.

Polaków na Łotwie było 60 000 na 1.800.000 mieszkańców, w Rydze było 16 000. Na Łotwie była mniejszość niemiecka - około 80 000. Była mniejszość rosyjska i tej było około 230 000 i była społeczność żydowska, chyba z 80 000. Tak, że razem dosyć dużo było mniejszości narodowych. Niemcy mieli szkoły niemieckie, Żydzi mieli swoje szkoły, przede wszystkim uczyli się języka łotewskiego. Rosjanie mieli szkoły rosyjskie. Każdy czuł się względnie spokojnie, chyba że działalność komunistyczną uprawiał. Animoszji narodowościowych ogólnie nie pamiętam. To znaczy, jak się chłopcy Rosjanie spotkali z Polakami czy Łotyszami, dochodziło do bójek, ale nie na tle politycznym, tylko językowym, czy zawiści w zdobywaniu panny.

Polskie społeczeństwo w Rydze nie było zamożne, zamożni i bogaci byli Żydzi- część, Niemcy. Rosjanie nie bardzo, Łotysze też częściowo. Tam były cztery województwa. W trzech województwach był względny dostatek, w czwartym było dużo

Polaków, dużo Rosjan i tam było najbiedniejsze społeczeństwo. To byli chłopcy i była też elita dawnych polskich posiadaczy, mieli swoje dworki. Po reformie rolnej część ziemi musieli oddać, zostało im tylko po 100 hektarów i te pałace, dworki. Tam mieszkali i żyli względnie dostatnio.

W czasie samodzielnej Łotwy mniejszość polska nie była dyskryminowana. Polonia prowadziła życie kulturalne bez przeszkód ze strony państwa łotewskiego. Pozwalali prosperować drużynom harcerskim, szkoły polskie były. W szkole powszechnej od którejś klasy obowiązywał język łotewski, ale język łotewski tylko tyle, żeby móc się porozumieć i wyrazić. W gimnazjum już była historia Łotwy, geografia Łotwy, ale reszta w języku polskim. To było polskie gimnazjum państwowe w Rydze. Obowiązkowo były tam przedmioty związane z Łotwą, jak historia i geografia. Te przedmioty były uczone przez Łotyszy.

W Rydze chodziłem do polskiej szkoły podstawowej, a po jej ukończeniu do polskiego gimnazjum. Ukończyłem je w 1938 roku. W międzyczasie należałem do Związku Polskiego w Rydze, do drużyny harcerskiej i do klubu sportowego, rozwiązanego po wejściu Rosjan do Łotwy, do klubu zwanego "Reduta".

W 1935 roku wyjechałem z harcerzami na zlot harcerski w Spale. Dla nas Polaków mieszkających stale na obczyźnie było to przeżycie wspaniałe, tym bardziej że po zjeździe mogłem na tydzień wyjechać indywidualnie do Skarżyska, gdzie poznałem moją rodzinę, czyli dziadków, ciocię, sporo kuzynów ze strony matki. Wcześniej nie mogłem ich odwiedzić, bo nie było pieniędzy. Po ukończeniu gimnazjum w Rydze otrzymałem pracę w Państwowej Fabryce Elektrotechnicznej i pracowałem jako radiomonter. W tej

fabryce przepracowałem cztery lata do chwili aresztowania mnie przez okupacyjne władze niemieckie.

Po wybuchu wojny polsko-niemieckiej i po okupacji terenów Polski przez Niemcy, do Łotwy zaczęli napływać uchodźcy cywilni i wojskowi z Polski. Cywile Polacy mogli zamieszkać u rodzin polskich w Rydze i myśmy przyjęli na okres około roku rodzinę Bonelerów, cztery osoby. Inne polskie rodziny w Rydze też przygarniały uchodźców cywili i zakamuflowanych wojskowych. Wojskowi bowiem byli internowani w kilku miejscach na Łotwie, między innymi w miejscowości Ulbruka, koło Rygi. Polonia spontanicznie pomagała internowanym, przywożąc paczki z żywnością i odzieżą cywilną, co pozwoliło pewnym przedsiębiorczym żołnierzom i oficerom uciec do Szwecji, na co władze łotewskie początkowo patrzyły przez palce. Później pod naciskiem żądań niemieckich zaostrzyły rygor i ograniczyły się wyjazdy. Część Polaków w Rydze zaczęła przez granice uciekać do Polski w czasie trwania wojny, żeby pomagać w obronie ojczyzny. To jeszcze Rosjan nie było. Mieli w tym czasie tylko takie bazy w kilku miejscach. Później, jak przyszli Rosjanie, ustało to wszystko.

W 1940 roku na wiosnę wojska radzieckie okupowały państwa bałtyckie. Po wkroczeniu Rosjan, w Rydze zamknięto wszystkie szkoły, wszystkie stowarzyszenia i klub sportowy "Reduta". Na Łotwie wprowadzono rządy rosyjskie i aresztowano około 100 tysięcy Łotyszów, białogwardzistów rosyjskich, którzy tam mieszkali, Żydów i Polaków. Później zaczęli wywozić i aresztować i 100 tysięcy wywieźli, przede wszystkim dużo Łotyszów - nacjonalistów, białogwardzistów, tych wszystkich bogatych Żydów. Niemców już nie było. Jak Rosjanie wkroczyli do Łotwy, zawarli

z Niemcami taki układ, że wszyscy Niemcy zostaną repatriowani, ale gdzie ? Do Polski !. Osiedli na terenach polskich zajmując polskie gospodarstwa. Naturalnie wywieziono wszystkich wojskowych Polaków, internowanych dotychczas. Po tych osobach wszelki ślad zaginął, nie dostaliśmy ani jednej wiadomości. Wiem, że zostali wywiezieni w głąb Rosji i częściowo do Katynia, Starobielska. Jedynie ci wojskowi, którzy uciekli z obozu przed wkroczeniem Rosjan, zdołali się uratować przed więzieniem. Polaków- cywili dotknęły też te represje. Miałem kilku kolegów, których też wywieźli. Oni wybierali ludzi według takiego klucza - na przykład mój szwagier, to znaczy jego rodzina - byli rzeźnikami, kupcami i nie wiem, na jakiej podstawie ich aresztowali. Ich ojciec nie żył i aresztowali matkę, siostrę, brata. Kolegi nie było w domu, tych troje wywieźli na Sybir. Po dziesięciu latach, chyba w pięćdziesiątym którymś roku, wróciła matka i siostra ,a brat zmarł tam.

Jak weszli Rosjanie, przede wszystkim zaczęli przychodzić tak zwani politrucy, do szkół polskich na przykład i przedstawiali, jaka władza radziecka jest dobra, a przy okazji zaraz pozamykali szkoły. Do fabryki, gdzie pracowałem, też przyszli Rosjanie i naturalnie zmienili dyrekcję. Tam akurat Łotysi wyprodukowali nowy odbiornik radiowy. Rosjanie przyszli i powiedzieli, że to oni wyprodukowali i na rynek puścili i patrzcie, jaka władza radziecka jest dobra. I,niestety, władza radziecka po trzech miesiącach urządziła wybory do Rad Narodowych i wtedy okazało się że 99,9 % zgodziło się przystąpić jako Republika Łotewska do Związku Radzieckiego.

Podczas rządów radzieckich wszelka działalność została

zakazana. Szkół polskich nie było i Polacy byli jakby samopas. Co prawda władza Radziecka na początku trwała krótko, niepełny rok. Stosunek do Rosjan ze strony Polaków był taki, że Polacy się do tego odnosili z rezerwą. Na przykład my, my żeśmy się odnosili z rezerwą, tym bardziej, że mieszkaliśmy parę lat w Rosji i wiedzieliśmy, co komuniści robią. Byli tacy, którzy należeli nawet do komunistycznych organizacji, ale jak później zaczęli wywozić internowanych Polaków i ślad po nich zaginął i te 100 tysięcy ludności z Łotwy, wtedy nawet komuniści zaczęli się przyglądać temu wszystkiemu i im się to nie podobało. Ale jeszcze współpracowali z Rosjanami, bo przecież były szkoły rosyjskie czy łotewskie o nastawieniu wybitnie radzieckim.

Myśmy byli zdenerwowani, że naszych szkół nie ma i stworzyliśmy taką organizację przeciwko, w zasadzie nieradziecką. Rozwiązane było harcerstwo i myśmy się spotykali tylko pokątnie.

Trwało tak do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. W ciągu tygodni Niemcy wyparli Rosjan z Łotwy i po czterech miesiącach stanęli u wrót Moskwy. Początkowo Łotysze bardzo się cieszyli z przyjscia Niemców, witali ich chlebem i solą, kwiatami. Później ,gdy już Niemcy poszli dalej w głąb i czuli się tutaj gospodarzami, zaczęli śruby przykręcać, nacjonaliści łotewscy trafiali do więzienia, organizacje powstawały.

W 1941 roku, jak Niemcy weszli do Rygi, powstały Konspiracyjne Oddziały Wywiadowcze. Organizacja podlegała wywiadowi - początkowo Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Zadaniem naszym było zbieranie informacji o ruchu wojsk niemieckich na terenie Łotwy. Organizacja działała osiem miesięcy, później została wykryta przez Gestapo i prawie

wszystkich członków aresztowano i osadzono w więzieniu. Jednak nie wszyscy zostali wykryci i po miesiącu następna grupa podjęła działanie, która ponownie została wykryta.

Chciałem wspomnieć jeszcze o tym, że jak nas aresztowali, to Niemcy nie ruszyli rodziców. Jak Rosjanie w 1945 roku po raz wtóry przyszli, myśmy byli w obozie w Sztuthofie i Rosjanie wiedzieli o tym. Wiedzieli, że była organizacja antyniemiecka, mimo to aresztowali ojca i matkę. Siedzieli tydzień w więzieniu. Wypytywali ich o organizację. Niemcy tego nie zrobili, a Rosjanie tak. Tacy oni byli, skrupulatni.

Po aresztowaniu i przesłuchaniach osadzono nas w więzieniu centralnym, następnie w terminowym. W więzieniu centralnym byliśmy dwa lata, a prawie pół roku w więzieniu terminowym. Tam byli polityczni i kryminaliści. Tak się nam udało załatwić z łotewskim strażnikiem, że jedna organizacja siedziała w jednej wspólnej celi, około 18 osób. Proces miał się odbyć po wojnie, tak nam powiedzieli.

Dopóki byliśmy z bratem Kazikiem w więzieniu w Rydze, nie odczuliśmy głodu. Rodzice wyprzedawali się ze wszystkiego, żeby tylko przysłać nam paczki.

Jak Rosjanie się zbliżali do Łotwy, były rozstrzeliwania w więzieniu. Wywoływali całe grupy, przede wszystkim Rosjan i Łotyszy, którzy należeli do organizacji komunistycznych (tam byli Polacy, Rosjanie i Łotysze), i rozstrzeliwali. Byli też spadochroniarze łotewscy, którzy służyli w radzieckim wojsku. Zostali złapani i wszystkich rozstrzelali. Ja byłem w więzieniu korytarzowym. Po takiej jednej akcji wywołali nas, żeby posprzątać. Powiedzieli, proszę wybierać, co tam chcecie. Ale,

jak myśmy na to spojrzeli, zwymiotowaliśmy. Niemcy mieli takie charakterystyczne podejście, w nocy wchodził strażnik i zapalał światło i wywoływał: ten i ten z rzeczami proszę wyjść. Po pół g o d z i n i e z n o w u . Strach taki narastał w człowieku, żeby jego nie zabrali. Jeszcze przedtem, jak nas przewozili z jednego więzienia do drugiego, kazali nam wszystko zabrać tak, jak tamtym, tylko że to było w dzień i nie wiedzieliśmy, gdzie i po co. Myśleliśmy, że też idziemy na rozstrzelanie. Okazało się, że wsadzili nas do więziennych karetek i wieźli przez miasto do innego więzienia.

Wspomnę tu jeszcze o średnim bracie Stanisławie. W czasie wybuchu wojny pływał na statkach łotewskich, a po kolejnym rejsie do Gdyni uciekł ze statku i pieszo oraz okazjami dostał się do Rygi. Tutaj zaangażował się na przybrzeżnym lodołamaczu, który w krótkce zatonął. Później brat długo chorował i po wyzdrowieniu, gdy zaczęło go szukać Gestapo, "zamustrował się" na niemiecki statek i, gdy ten przepływał koło Szwecji, uciekł ze statku wraz z kilkoma marynarzami łotewskimi. Tam wykorzystali jego znajomość terenu w Lotwie. Brat pracował w konspiracji i na polecenie Londynu kilkakrotnie był w Rydze. Przeszkolili go, podjeżdżali łodziami do łotewskich brzegów, wysadzali go i on jako wywiadowca z aparatem radiowym kilka razy przechodził przez całą Łotwę. Szedł do Witebska, do Nowogrodu i tam zbierał wiadomości. Wracął z powrotem , w umówione miejsce ,w umówionym dniu i łódź go przewoziła z powrotem. Żeby rodziców nie wplątać w tę historię, nie pokazywał się w domu. Tylko raz spotkał siostrę, kiedyś zostawił pieniądze - dolary. Matka mówiła:" Co to za anioł zostawił te pieniądze". Później przedostał się do Szwecji i tam

został przez cały czas okupacji. Wiadomości zbierał dla Londynu. Dostał jakieś odznaczenie, pochwałę za wzorowe wypełnianie obowiązków wywiadowcy.

Niemcy przegrali wojnę i we wrześniu 1944 roku pod naporem wojsk Radzieckich ewakuowano nas statkiem do Gdańska, następnie barkami do obozu koncentracyjnego w Sztuthofie.

Statek "Izar" wypływał i było tam chyba z kilka tysięcy osób stłoczonych. Rodzice dowiedzieli się, że nas ewakuują, bo była tam taka organizacja i powiadomili ich. Ja rodziców nie widziałem, widział ich brat. On się na siłę wydostał tam, gdzie zchodzili na pokład i tam widział rodziców. Statkiem wieźli nas przez Bałtyk do Gdańska, w międzyczasie Rosjanie chcieli ztorpedować statek, ale im się nie udało. My nie wiedzieliśmy, dokąd płyniemy .

Po wywiezieniu nas do Sztuthofu, poznaliśmy dopiero, co to jest głód i strach przed rozstrzelaniem.

W więzieniu przesiedzieliśmy dwa lata, w obozie pół roku, ale przecierpieliśmy o wiele więcej. Głód i choroby gnębiły więźniów i wielu kolegów z naszej organizacji nie przeżyło obozu.

W więzieniu myśmy siedzieli w celi i nic nie robiliśmy. Na początku nam nie pozwalali wychodzić, tylko na spacer. Później proponowali pracę w warsztatach, albo w ogrodzie przy centralnym więzieniu. Myśmy się tam zgłosili. Latem było tam bardzo przyjemnie. Kopaliśmy, plewiliśmy i budowali jakieś baraki dla innego obozu na terenie tego więzienia. Te dwa lata była względna swoboda.

Gdy przyjechaliśmy do obozu, musieliśmy wszystko oddać. Mogliśmy zostawić tylko buty i dali jakieś łachy w kratkę. To się

nazywało "Cugangi". W tych "Cugangach" więźniów, których przywozili, ogołocili ze wszystkiego i do łazienek - taka "landara" , prysznic z zimną wodą. Tam nas pod tymi prysznicami niby umyli, a jeszcze przed tym ogolili wszędzie - i góra i dół, wszystko. Tych przyjsściowych strzygli do samej skóry, po środku głowy wygolili taki pasek. Najpierw byliśmy na bloku pierwszym. Później przechodziliśmy przez taki ośrodek polityczny i zapisywali kto, co i jak. Przez półtora miesiąca nie wolno nam było do pracy chodzić. Można było tylko chodzić dookoła baraku. Z rana były apele i trzeba było wstawać około godziny piątej, kto nie zdążył, tego bili. Szczególnie tych młodych, tych przyjsściowych. Ja na przykład dostałem pryczę, a buty musiałem zostawić na dole, bo to były piętrowe prycze. Rano budzę się, butów nie ma, ukradli. Ktoś mi dał jakieś drewniane trepy i w nich chodziłem. W ciągu tego miesiąca nas bardzo pilnowali i tak w kółko: apel, obiad, kolacja. Były też takie "ćwiczenia", mianowicie w nocy o godzinie około pierwszej wpadało " Kapo", "Lafer" - to był kierownik bloku. To byli najczęściej kryminaliści niemieccy, z zielonym trójkątem. Myśmy wszyscy mieli trójkąt czerwony jako polityczni, ale tam potem dawali wszystkim Polakom, co za świnię siedział, za ubój nielegalny i tak dalej, czerwony trójkąt. Blokowi i kapowie mieli taki rewir, w zasadzie grupę, z którą chodzili do pracy. "Kapo" chodził z takim kijem i walił, chciał popisać się przed Niemcami, przed tymi obozowymi. Oni o tej godzinie pierwszej, drugiej w nocy wpadali do bloku, zapalali światło i krzyczeli: "ale raus"! Wszyscy, niestety bez butów, biegli. To były takie ścieżki zdrowia. Pałami kogo uderzyli, kogo nie, to nie. Tam była zimna woda, prysznic. Każdy

się niby umył i z powrotem, bez wycierania i znowu pałami bili i do baraku i na prycze. Gdy już wszyscy się tam znaleźli, odbierali koc i mówili: "masz brudne nogi". Jak można było przejść boso z czystymi nogami? Jeden, drugi, trzeci i znów cały blok do mycia. To było takie znęcanie się nad więźniami.

Po miesiącu weszli (jakiś Niemiec i blokowy) i zapisywali, kto jest rzemieślnikiem, kto co umie robić, i angażowali do pracy. Dużo podawało, że jest krawcem czy szewcem, a nic nie umiał. Potem cierpiał, bo oni to sprawdzili, że się nie nadaje. My z bratem zgłosiliśmy się do wyřębu lasu. Wyszliśmy raz, drugi raz i za drugim razem dwóch Rosjan uciekło. To było jakieś trzy kilometry od obozu. Jak tych dwóch uciekło, przyprowadzili nas z powrotem z psami i przed blokiem na placu ustawili. Przyszedł taki Niemiec, złośliwa bestia, no i "ćwiczenia", "gimnastyka": "Wstać!" "Padnij!" "Skakać!" - i tak w kółko. Jak ktoś nie potrafił, to kopał, bił. Tak męczył nas ponad godzinę. Starsi ludzie poupadali. Później ustawili nas i "kapo" idzie i mówi do mnie: "Ty się śmiejesz". Nikomu do śmiechu nie było. Ja mówię, że nie. A on: "Siadaj na kozła", i dostałem "batogiem" pięć razy. Wtedy poczułem. Drugi raz przychodzi i mówi do jednego: "Ty rozmawiałeś" - i dostał dziesięć razy. Później ten Niemiec mówi do "kapo": "Nie upilnowałeś, kładź się". Ten dostał dwadzieścia pięć batów.

W tym obozie z jedzeniem było bardzo źle i ludzie umierali, co starszy, to nie wytrzymał. Tam była zorganizowana grupa Polaków i jeden drugiemu pomagał. Byli w dobrej komitywie z jakimś blokowym, to Polaków wyciągali. Na tym bloku chodziliśmy budować baraki, do warsztatów i naturalnie już było lepiej, bo

to były tak zwane bloki uprzywilejowane, nie było apeli i nie pilnowali tak. Później żeśmy się podzielili, brat był w innym i ja w innym bloku. Kiedy zachorowałem, dali mnie na rewir szpitalny. Pracowałem w warsztatach i coś robiliśmy z ostrej blachy i nożycami się zaciąłem. Mam taki ślad. Zaprowadzili mnie do takiego "pseudo" punktu opatrunkowego, ten popatrzył, zawinął i mówi że będzie dobrze.

W każdym bloku było od 1000 do 1700 osób. Bloków było 15, czy wszystkie były pełne, niewiadomo. Było kilka bloków żydowskich. Żydów wykańczali. Wyprowadzali pod krematorium i rozstrzeliwali, albo do komór gazowych gazowali i później do krematoriów i palili. Później było tak dużo trupów, że kopali duże doły i w dołach kilka takich warstw - trupy, drewno - polewali benzyną i palili. Z Żydami robili tak przez cały czas mojego pobytu w Sztuthofie. Pamiętam, kiedyś szliśmy sami z bratem do pracy i widzimy, jak wóz ciągnęli więźniowie, nie było żadnych koni. Na wozie siedziało kilkanaście kobiet. Mówimy: dlaczego one płaczą?, bo wiozą ich do komór gazowych. To było straszne.

Do obozu przywieziono nas we wrześniu 1944 roku, a w styczniu 1945 roku ewakuowano nas na zachód przed następującymi wojskami Armii Czerwonej. W ciągu dziesięciu dni przeszliśmy pieszo około 200 kilometrów i nic więc dziwnego, że z naszego bloku do podobozu w Ganz koło Lemborka doszło około 800 osób z 1500, które wyszły ze Sztuthofu. Więc jak była ta ewakuacja, byłem akurat w szpitalu, brat oddzielnie i ja oddzielnie. Nasz blok poszedł swoją trasą, przez lód, przez Wisłę. Były mrozy i na rzece był lód, kilku tam utonęło. Jak szliśmy, to widzieliśmy,

że tu i tam leżą trupy przesypane trochę śniegiem i tylko słyszeliśmy z tyłu, jak strzelali do tych, którzy nie mogli iść. Strażnik szedł, to byli i Niemcy i Ukraińcy - popychał, tamten się wywracał, a ten strzelał do niego i szedł dalej. To był marsz śmierci. Strażnicy bez skrępowań strzelali do maruderów.

W Ganz były baraki, w których młodzież niemiecka odbywała jakieś ćwiczenia wojskowe. Teraz były puste. Tam nas zakwaterowali. Jedliśmy tam koninę. Tam też Polacy i Kaszubi paczki przynosili - dostawało się czasami chleb i masło wyjątkowo, margarynę, ewentualnie cukier. A tak gotowali w kotłach brukiew przede wszystkim, już patrzeć na to nie można było. Po kromce chleba dawali. Ziemniaków po kilka pływało w zupie. Jak ktoś dostał gęstą, to żywił się lepiej, jak nie, to gorzej.

Drugi brat uciekł z podobozu Ganz. Jak szliśmy kolumną z Gdańska do Ganz, on w czasie tego marszu uciekł. Tam sporo ludzi ginęło, sporo rozstrzelali, ale sporo też uciekło. Nas kwaterowali w szopach z sianem. On się umówił z jakimś Łotyszem (to był Łotysz, który był w SS, ale za jakieś kryminalne historię trafił do obozu), wszedł w kontakt z Ukraińcem-strażnikiem, coś mu tam dali, jakieś złoto, chyba, i uciekli. O miesiąc wcześniej niż ja był na wolności. Ale musiał się ukrywać w lasach. Spotkali Polaków - tych Kaszubów, powiedzieli, że są z obozu, to ich z jednego domu do drugiego, z jednej wioski do drugiej, przemycali. Przetrwali tam cały miesiąc. I na koniec niefortunnie wpadli. Rosjanie ich zatrzymali i zaczęli sprawdzać. I ten Łotysz ze strachu powiedział, że on należał do SS. Jak jeden należał do SS, drugi prawdopodobnie też. Brat opowiadał, że on był w obozie.

Tamtego odseparowali, nie wiem, co z nim zrobili. Brata zakuli w kajdanki i przez dwa dni męczyli, żeby wydał, do jakiej organizacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu należał. Nawet go pobili tak, że ledwo mógł się podnieść. Jakiś major rosyjski go uderzył i on mu oddał. I wtedy go zbili. Takie "sztuczki" robili (sztuczki, jak sztuczki) : wzięli go z rana do lasu, kazali kopać dół i będą rozstrzeliwać. To było, chyba, tak ukartowane, myśleli, że się przyzna. Traf chciał, że przechodząc kiedyś wkoło takiego miejsca, gdzie Rosjanie zgromadzili wszystkich więźniów, jedna Rosjanka, chyba komunistka też, poznała, że on był w więzieniu w Rydze. Wypuścili go. Tylko w ten sposób się uratował. Mógł źle skończyć.

W podobożu w Ganz siedzieliśmy jeszcze półtora miesiąca, aż wreszcie zaczęto nas ewakuować do Pucka. Trzy dni nas pędzili z Ganz do Pucka. W ciągu trzech dni i nocy szliśmy wśród huku artylerii radzieckiej i niemieckiej, w dzień i w nocy nas pędzili na wschód do Pucka, żeby nas zaokrętować i wywozić. Kolumna w ostatni dzień wyszła na szosę, a myśmy stali jeden przy drugim i ogrzewaliśmy się. Trzech więźniów zaczęło uciekać, może czterech. Ukraińcy i Niemcy też zgłupieli. Nie wiedzieli początkowo, co robić i zaczęli strzelać. Jednego trafili, drugiego trafili, trzeciego już bardzo daleko i też trafili. Za czwartym poszedł w pogoń Ukrainiec z psem. Dobiegł do niego i zaczął go kijem okładać. Szli w stronę kolumny i jak już byli niedaleko, popchnął go na ziemię i zastrzelił. Nie udało się ucieczka temu biedakowi. Wracał do kolumny z takimi opuszczonymi oczami.

Front był dosłownie o kilometr, pół kilometra Rosjanie od

Niemców. Jak myśmy śli drogą, z jednej strony, gdzieś 50 m ,stały aarmaty niemieckie i Niemcy walili na wschód. A stamtąd leciały pociski rosyjskie. Ale jakoś nie trafiały w nas. Samoloty leciały rosyjskie nad nami jakiś czas, później pomachały skrzydłami i poleciały dalej. Może zorientowali się, że jesteśmy więźniami, że to nie wojsko. Jeszcze w samym obozie, w Sztuthofie, Niemcy pozwolili nam ubierać się w cywilne ubrania. Dawali cywilne ubrania, tylko farbą, co to nie schodzi, malowali duże krzyże z tyłu na plecach i na spodniach, żeby nie móc uciec i powiedzieć, że jest się cywilem.

W Pucku nas zostawili. Wsadzono nas do miejscowego więzienia, a w nocy kazano nam wychodzić, ale większość została w więzieniu. Nad ranem Rosjanie nas wyzwolili. W Pucku byłem tydzień, a później wyruszyłem z kolegami do Wejcherowa, ale w drodze zachorowałem na tyfus plamisty. Okazało się, że zaraziłem się od chłopca żydowskiego w więzieniu w Pucku. Parę dsiesiąt Żydów, którzy tam gdzieś pracowali, do tego więzienia wepchnęli. Stał przy mnie, rozumiał po polsku i mówię do niego : " Co ci jest?" A on, taki nieprzytomny, mówi : "Choruję na tyfus". Ja patrzę i tak po nim wszy łążą. Ponieważ było tak ciasno, nie można było leżeć ani siedzieć, stał jeden przy drugim, dostałem tyfus i zachorowałem. Przeleżałem nieprzytomny dwa tygodnie u jakiejś rodziny kaszubskiej. Nie pamiętam ani nazwy wsi, ani otoczenia. Po tych dwóch tygodniach, jak wracałem do zdrowia, słabo słyszałem, widziałem jak przez siatkę. Razem z kolegą chorowaliśmy i obaj nie zmarliśmy. Jak podobno rozmawialiśmy ze sobą, tak mówiła gospodyni, krzyczeliśmy, a nam się wydawało, że mówimy normalnym głosem. Pozostałość tej choroby spowodowała, że

wzrok mam gorszy niż powinienem mieć, słuch przytępiony. Już od dłuższego czasu pamięć zawodzi i to jest najgorsze. To wszystko to pozostałości po chorobie. Ta gospodyni opiekowała się nami tylko dla tego (tak mi się zdaje, bo kto by zatrzymał chorych na tyfus), że miała dwie córki. Rosjanie co rusz przychodzili i jak gdzieś mogli, to gwałcili kobiety, niewiasty. Oni byli Kaszubi i Rosjanie uważali ich za Niemców. Ale jak ona mówiła, że tu są dwaj więźniowie z obozu i są chorzy na tyfus, natychmiast wychodzili i nie ruszali. Raz tylko, pamiętam jak przez mgłę, budził mnie ktoś. Patrząc, stoi ktoś przy łóżku z taką pepeszą i dokumenty chce. Ja miałem wydaną przepustkę przez władze radzieckie w Pucku, że jesteśmy z obozu i idziemy do Warszawy, tę mu podałem i więcej nas nie ruszali.

Więc po dwóch tygodniach poczułem się lepiej i z kolegą ruszyliśmy do Torunia, gdzie jeden z naszej grupy więziennej miał rodziców. To był Polak, pilot, który uciekł właśnie na Łotwę i nie pozwolił się skoszarować w obozie, tylko cywilne ubranie i jakieś tam dokumenty wyrobił i został w Rydze na wolności. Należał do naszej grupy, był przywódcą naszej trójki w Rydze. Nazywał się Seweryn Faleński, a tam się nazywał Waldemar Przyborowski, zmienił nazwisko. Niemcy i tak doszli do tego, że jest pilotem, jak nas już aresztowali. On pochodził z Torunia i tam miał rodziców. W Toruniu przez tydzień byłem w Polskim Czerwonym Krzyżu i tam dowiedziałem się, że mój brat Kaziu jest w Wejcherowie, więc pojechałem tam. W Wejcherowie pracowałem przez trzy miesiące jako tłumacz polsko-rosyjski w Starostwie Morskim w Wejcherowie.

Taką przepustkę dali mi Rosjanie. To ja sam pisałem, oni

tylko potwierdzili. To jest zaświadczenie, że byłem w obozie i że jestem w Wejherowie zameldowany. Ale dokumentów specjalnych nie miałem, tylko zaświadczenie, że pochodzę z Rygi, urodziłem się w Szlisselburgu.

Tu mam zaświadczenie, że Państwowy Urząd Repatriacyjny - Oddział Gdańsk - zaświadcza, że taki i taki jest Polakiem, że pochodzi stamtąd i że na razie mieszka na terenie Polski. To był mój główny dokument na początku. W 47r. dostałem obywatelstwo polskie na podstawie tego, że byłem czystym Polakiem, że byłem w obozie, że Urząd Repatriacyjny uznał, że jestem repatriantem. Musiałem formalnie wystąpić o przyznanie mi obywatelstwa. Mało tego, była taka sytuacja, że kazali wszystkim Polakom - nie obywatelom polskim (z Łotwy czy z innych miejsc) zgłosić się w Konsulacie Rosyjskim, tu w Poznaniu. Kazali im wracać "na rodzinu". Ja nie poszedłem, inni też nie poszli.

Myśmy byli obywatelami łotewskimi, w 1923 r. dostaliśmy obywatelstwo łotewskie. W 1940 r., jak Rosjanie weszli, dostaliśmy obywatelstwo radzieckie. Niemcy tego obywatelstwa nie uznawali, ale nie dali nam innego dokumentu. Jak Rosjanie przyszli tutaj, powstała Polska, repatriowali przez Urząd Repatriacyjny, ale nie dali jeszcze obywatelstwa polskiego. Ci, co mieli obywatelstwo polskie do II wojny światowej, automatycznie zostawali obywatelami polskimi, nic nie potrzebowali. Natomiast ci ze Wschodu, nie tylko z tych ziem, co Rosjanie przyłączyli z dawnej Polski, ale jeszcze dalej, ci nie mieli obywatelstwa polskiego i musieli dostać od Urzędu Repatriacyjnego takie zaświadczenie i później musieli występować o przyznanie obywatelstwa. I tu napisali, że "zrzekam się

obywatelstwa radzieckiego". Napisane jest "rosyjskiego", dla urzędnika nie miało to znaczenia, rosyjski czy radziecki.

Dowiedziałem się o zapisach na studia w szkole inżynierskiej w Poznaniu. Pojechałem do Poznania, zapisałem się na wydział elektryczny i po trzech latach studiów otrzymałem tytuł inżyniera elektryka. Po studiach pracowałem w Polskim Radiu, a następnie w 1950 roku podjąłem pracę w Poznańskim Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego, gdzie pracowałem do 1982 roku. W międzyczasie poznałem siostrę kolegi ze studiów i ożeniłem się w 1950 roku. W 1951 r. urodził nam się syn Jacek, a w 1953 r. córka Elżbieta.

W latach 1955 do 1982 często podróżowałem z rodziną za granicę. Zwiedziliśmy pół Europy i często byliśmy w Rydze. Po wojnie zostali tam rodzice i siostra.

Były wielokrotne starania po wojnie o powrót do kraju, ale nie było żadnego rezultatu. Pisałem podanie do premiera Osóbki-Morawskiego, do Cyrankiewicza, do Gierka i wciąż otrzymywałem odpowiedzi, że rodzice nie mogą się repatriować, bo nie byli obywatelami polskimi. Przecież do pierwszej wojny światowej nie było Polski jako samodzielnego państwa, to jak mogli mieć obywatelstwo polskie? Rodzice zmarli na Łotwie i tylko siostra z rodziną po wielkich staraniach mogła przyjechać do Polski, za Gierka.

Pisałem do Osóbki-Morawskiego wtedy, kiedy on był premierem, że rodzice mieszkali tam, ale matka pochodzi z Polski, że proszę o repatriowanie moich rodziców i siostry tutaj do Polski. Zostałem wezwany do Komitetu Woj. PPR w Poznaniu, to był rok 46. Tam rozmawiałem z sekretarzem PPR i on mówi: "Towarzyszu, my

możemy się postarać, ale musicie się zapisać do partii". Mówię: "Jaka jest pewność, że rodzice wrócą?". -"Takiej 100% pewności nie mamy, ale będziemy się starali". Ja mówię: "Nie, dziękuję, za taką cenę nie".

Później, w 56 r., jak była odwilż, napisałem do Cyrankiewica, on był wtedy premierem. Napisałem do niego z prośbą o repatriację, umożliwienie powrotu do kraju. Trwało to długo, długo nie miałem odpowiedzi żadnej. Matka wtedy pojechała do Moskwy, do Ambasady Polskiej. Tam ją strasznie potraktowali. Nie wiem, czy byli uprzedzeni do tych innych Polaków. Załatwili ją odmownie. Ona tam płakała. Wróciła do Rygi, nic nie załatwiła. Ja pisałem drugi raz, dlaczego nie ma odpowiedzi. I dostałem odpowiedź, że ponieważ rodzice nie byli obywatelami polskimi do I wojny światowej, a przed II wojną światową byli obywatelami łotewskimi, nie można ich repatriować.

W międzyczasie pozwolili nam wyjechać do Rygi, raz, następnego roku drugi raz. Później w 57 r. mama przyjechała tutaj. Kiedy przejechała granicę polsko-rosyjską, to tak patrzyła i nic nie widziała, tak płakała, tak łzy jej ciekły. Przedtem była w Polsce w 28 roku. Jej siostra z Warszawy zaprosiła ją, opłaciła podróż.

W 58 r. ojciec zmarł, to myśmy tam pojechali. Później co roku, albo myśmy jechali do Rygi, albo stamtąd ktoś przyjeżdżał. Siostra przyjeżdżała, albo matka przyjeżdżała.

Ponownie o repatriację zacząłem się starać jeszcze raz, jak mama zmarła, w roku 1972. Wtedy właśnie pisałem do Gierka. Przez miesiąc czasu nie było żadnej odpowiedzi. Później zostałem wezwany do kancelarii do KC. Przyjechałem do KC, z

sekretariatu posłali mnie do jednej pani, chyba była adwokatem i opowiedziałem jej wszystko od początku. Ona powiedziała: "Proszę czekać, zobaczymy, co się da zrobić". W międzyczasie przychodziła milicja, sprawdzała, jak mieszkamy, jakie są warunki. Po miesiącu dostaliśmy odpowiedź - Owszem, siostra z mężem i dziećmi może przyjechać do Polski, ale my musimy zapewnić zakwaterowanie i utrzymanie. No, to myśmy się zgodzili. Siostra była ciężko chora na nowotwory, które były rozsiane w całym organizmie, tak, że przetrzymała chyba pół roku. W zasadzie już nie chciała jechać, tylko dla swoich dzieci przyjechała tutaj. A syn jej nie przyjechał, był akurat po wojsku i nie wypuszczali go, bo tajemnice państwowe znał różne. Córka jej Basia, bardzo energiczna dziewczyna, poszła najpierw zameldować się do Konsulatu w Poznaniu i tam natrafiła na młodego urzędnika, który najpierw krzyczał na nią, że tu jest wasza władza w Konsulacie. Później jakoś przypadła mu do gustu. Za jego poręczeniem i z jego pismem poszła do Zarządu Miasta i dostali mieszkanie. Ona też postarała się, że ojciec dostał pracę. On jeździł po całej Polsce i nigdzie nie przyjmowali. Ale teraz ci też pismem napisali i teraz widać, jak my byliśmy uzależnieni od Rosjan. Później dostała się na studia. Najpierw studiowała w Rydze na ekonomii i była na trzecim roku, tu dostała się na studia też na trzeci rok ekonomii. Musiała zdać kilka egzaminów i skończyła studia. Mieszka w Kaliszu, wyszła za obywatela polskiego i teraz ma już trójkę dzieci.

Bardzo żałuję, że rodzice nie przyjechali. Oni by tutaj odżyli. Tam ojciec pracował w chłodni jako dozorca, matka pracowała w szpitalu, jeszcze w czasie wojny, w 45 r. Każdy

musiał pracować, musiała tam sprzątać, także ciężko im było.

Żyje mój kolega Faleński, (jest w Szczecinie), mój brat.
Dwóch kolegów jest w Warszawie.

Nagrała: Eva Zamojska

Spisała:

Opracowała: Eva Zamojska

Poznań, 28 kwietnia 1994 rok

Ośrodek KARTA w Poznaniu, Archiwum Zachodnie

(wersja nieautoryzowana)

I/1747

Antoni Błażewicz

Urodziłem się w Szlisselburgu koło Petersburga w 1919 roku. Rodzice: Piotr Błażewicz i Stanisława, z domu Ponikowska. Rodzice moi w czasie zawieruchy w pierwszej wojnie światowej znaleźli się na tym terenie przypadkowo. Ojciec Piotr urodził się w Przydrujsku nad granicą polsko-łotewską. Wtedy, kiedy on tam mieszkał, to należało do Rosji Carskiej, do 1919. Po wybuchu pierwszej wojny światowej został wcielony do wojska rosyjskiego, prawdopodobnie gdzieś w 1915 roku, i był na froncie. W 1917 roku w czasie rewolucji wrócił z wojska i zatrzymał się w Szlisselburgu, dawnej twierdzy. Zaczął tam pracować w fabryce prochu i amunicji.

Matka Stanisława urodziła się koło gór Świętokrzyskich w Słupi i jako osoba do dzieci pracowała w rodzinie rosyjskiej w Warszawie od 1913 roku. Po wybuchu wojny rodzina rosyjska ewakuowała się do Petersburga i zabrała ze sobą moją matkę jako opiekunkę do dzieci.

Rodzice poznali się w Petersburgu i pobrali się w Szlisselburgu. Tam urodziłem się w 1919 roku.

W czasie rewolucji panował głód, matka nie miała pokarmu i poila mnie herbatą zamiast mleka. Nabawiłem się przez to krzywicy. W Szlisselburgu urodzili się moi dwaj bracia. W Rosji, potem już w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich przebywaliśmy do 1923 roku, potem pozwolili repatriować się do krajów bałtyckich, ale do Polski nie. Nie pozwalali, bo mimo wszystko do Polaków czuli niechęć, przecież przegrali wojnę w 1920 roku i z pod Warszawy ich gnali. Ojciec wtedy miał paszport i akt urodzenia i tam było pisane, że jest z Przydrujska. Jak powstały państwa bałtyckie, ojciec mógł do Łotwy wyjechać. Starania trwały bardzo długo.

Zatrzymaliśmy się ostatecznie w Rydze, gdzie ojciec dostał pracę w fabryce kleju i mączki kostnej. W Rydze kilkakrotnie zmienialiśmy mieszkanie. W międzyczasie urodziła się siostra, to był 1924 rok. Myśmy mieszkali na przedmieściu, gdzie było bardzo dużo Rosjan. Nazywało się to Moskiewskie Przedmieście i tam po rosyjsku nauczyliśmy się mówić lepiej niż po łotewsku. Później w szkole i w towarzystwie łotewskim, w jakim się obracaliśmy, żeśmy się nauczyli mówić poprawnie.

Polaków na Łotwie było 60 000 na 1.800.000 mieszkańców, w Rydze było 16 000. Na Łotwie była mniejszość niemiecka - około 80 000. Była mniejszość rosyjska i tej było około 230 000 i była społeczność żydowska, chyba z 80 000. Tak, że razem dosyć dużo było mniejszości narodowych. Niemcy mieli szkoły niemieckie, Żydzi mieli swoje szkoły, przede wszystkim uczyli się języka łotewskiego. Rosjanie mieli szkoły rosyjskie. Każdy czuł się względnie spokojnie, chyba że działalność komunistyczną uprawiał. Animosji narodowościowych ogólnie nie pamiętam. To znaczy, jak się chłopcy Rosjanie spotkali z Polakami czy Łotyszami, dochodziło do bójek, ale nie na tle politycznym, tylko językowym, czy zawiści w zdobywaniu panny.

Polskie społeczeństwo w Rydze nie było zamożne, zamożni i bogaci byli Żydzi - część, Niemcy. Rosjanie nie bardzo, Łotysze też częściowo. Tam były cztery województwa. W trzech województwach był względny dostatek, w czwartym było dużo

Polaków, dużo Rosjan i tam było najbiedniejsze społeczeństwo. To byli chłopcy i była też elita dawnych polskich posiadaczy, mieli swoje dworki. Po reformie rolnej część ziemi musieli oddać, zostało im tylko po 100 hektarów i te pałace, dworki. Tam mieszkali i żyli względnie dostatnio.

W czasie samodzielnej Łotwy mniejszość polska nie była dyskryminowana. Polonia prowadziła życie kulturalne bez przeszkód ze strony państwa łotewskiego. Pozwalali prosperować drużynom harcerskim, szkoły polskie były. W szkole powszechnej od którejś klasy obowiązywał język łotewski, ale język łotewski tylko tyle, żeby móc się porozumieć i wyrazić. W gimnazjum już była historia Łotwy, geografia Łotwy, ale reszta w języku polskim. To było polskie gimnazjum państwowe w Rydze. Obowiązkowo były tam przedmioty związane z Łotwą, jak historia i geografia. Te przedmioty były uczone przez Łotyszy.

W Rydze chodziłem do polskiej szkoły podstawowej, a po jej ukończeniu do polskiego gimnazjum. Ukończyłem je w 1938 roku. W międzyczasie należałem do Związku Polskiego w Rydze, do drużyny harcerskiej i do klubu sportowego, rozwiązanego po wejściu Rosjan do Łotwy, do klubu zwanego "Reduta".

W 1935 roku wyjechałem z harcerzami na zlot harcerski w Spale. Dla nas Polaków mieszkających stale na obczyźnie było to przeżycie wspaniałe, tym bardziej że po zjeździe mogłem na tydzień wyjechać indywidualnie do Skarżyska, gdzie poznałem moją rodzinę, czyli dziadków, ciocie, sporo kuzynów ze strony matki. Wcześniej nie mogłem ich odwiedzić, bo nie było pieniędzy. Po ukończeniu gimnazjum w Rydze otrzymałem pracę w Państwowej Fabryce Elektrotechnicznej i pracowałem jako radiomonter. W tej fabryce przepracowałem cztery lata do chwili aresztowania mnie przez okupacyjne władze niemieckie.

Po wybuchu wojny polsko-niemieckiej i po okupacji terenów Polski przez Niemcy, do Łotwy zaczęli napływać uchodźcy cywilni i wojskowi z Polski. Cywile Polacy mogli zamieszkać u rodzin polskich w Rydze i myśmy przyjęli na okres około roku rodzinę Bonelerów, cztery osoby. Inne polskie rodziny w Rydze też przygarniały uchodźców cywili i zakamuflowanych wojskowych. Wojskowi bowiem byli internowani w kilku miejscach na Łotwie, między innymi w miejscowości Ulbruka, koło Rygi. Polonia spontanicznie pomagała internowanym, przywożąc paczki z żywnością i odzieżą cywilną, co pozwoliło pewnym przedsiębiorczym żołnierzom i oficerom uciec do Szwecji, na co władze łotewskie początkowo patrzyły przez palce. Później pod naciskiem żądań niemieckich zaostrzyły rygor i ograniczyły się wyjazdy. Część Polaków w Rydze zaczęła przez granice uciekać do Polski w czasie trwania wojny, żeby pomagać w obronie ojczyzny. To jeszcze Rosjan nie było. Mieli w tym czasie tylko takie bazy w kilku miejscach. Później, jak przyszli Rosjanie, ustało to wszystko.

W 1940 roku na wiosnę wojska radzieckie okupowały państwa bałtyckie. Po wkroczeniu Rosjan, w Rydze zamknięto wszystkie szkoły, wszystkie stowarzyszenia i klub sportowy "Reduta". Na Łotwie wprowadzono rządy rosyjskie i aresztowano około 100 tysięcy Łotyszów, białogwardzistów rosyjskich, którzy tam mieszkali, Żydów i Polaków. Później zaczęli wywozić i aresztować i 100 tysięcy wywieźli, przede wszystkim dużo Łotyszów - nacjonalistów, białogwardzistów, tych wszystkich bogatych Żydów. Niemców już nie było. Jak Rosjanie wkroczyli do Łotwy, zawarli

z Niemcami taki układ, że wszyscy Niemcy zostaną repatriowani, ale gdzie? Do Polski!. Osiedli na terenach polskich zajmując polskie gospodarstwa. Naturalnie wywieziono wszystkich wojskowych Polaków, internowanych dotychczas. Po tych osobach wszelki ślad zaginął, nie dostaliśmy ani jednej wiadomości. Wiem, że zostali wywiezieni w głąb Rosji i częściowo do Katynia, Starobielska. Jedyne ci wojskowi, którzy uciekli z obozu przed wkroczeniem Rosjan, zdołali się uratować przed więzieniem. Polaków- cywili dotknęły też te represje. Miałem kilku kolegów, których też wywieźli. Oni wybierali ludzi według takiego klucza - na przykład mój szwagier, to znaczy jego rodzina - byli rzeźnikami, kupcami i nie wiem, na jakiej podstawie ich aresztowali. Ich ojciec nie żył i aresztowali matkę, siostrę, brata. Kolegi nie było w domu, tych troje wywieźli na Sybir. Po dziesięciu latach, chyba w pięćdziesiątym którymś roku, wróciła matka i siostra, a brat zmarł tam.

Jak weszli Rosjanie, przede wszystkim zaczęli przychodzić tak zwani politrucy, do szkół polskich na przykład i przedstawiali, jaka władza radziecka jest dobra, a przy okazji zaraz pozamykali szkoły. Do fabryki, gdzie pracowałem, też przyszli Rosjanie i naturalnie zmienili dyrekcję. Tam akurat Łotysi wyprodukowali nowy odbiornik radiowy. Rosjanie przyszli i powiedzieli, że to oni wyprodukowali i na rynek puścili i patrzcie, jaka władza radziecka jest dobra. I, niestety, władza radziecka po trzech miesiącach urządziła wybory do Rad Narodowych i wtedy okazało się że 99,9 % zgodziło się przystąpić jako Republika Łotewska do Związku Radzieckiego.

Podczas rządów radzieckich wszelka działalność została zakazana. Szkół polskich nie było i Polacy byli jakby samopas. Co prawda władza Radziecka na początku trwała krótko, niepełny rok. Stosunek do Rosjan ze strony Polaków był taki, że Polacy się do tego odnosili z rezerwą. Na przykład my, my żeśmy się odnosili z rezerwą, tym bardziej, że mieszkaliśmy parę lat w Rosji i wiedzieliśmy, co komuniści robią. Byli tacy, którzy należeli nawet do komunistycznych organizacji, ale jak później zaczęli wywozić internowanych Polaków i ślad po nich zaginął i te 100 tysięcy ludności z Łotwy, wtedy nawet komuniści zaczęli się przyglądać temu wszystkiemu i im się to nie podobało. Ale jeszcze współpracowali z Rosjanami, bo przecież były szkoły rosyjskie czy łotewskie o nastawieniu wybitnie radzieckim.

Myśmy byli zdenerwowani, że naszych szkół nie ma i stworzyliśmy taką organizację przeciwko, w zasadzie nieradziecką. Rozwiązane było harcerstwo i myśmy się spotykali tylko pokątnie.

Trwało tak do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. W ciągu tygodni Niemcy wyparli Rosjan z Łotwy i po czterech miesiącach stanęli u wrót Moskwy. Początkowo Łotysze bardzo się cieszyli z przyjscia Niemców, witali ich chlebem i solą, kwiatami. Później, gdy już Niemcy poszli dalej w głąb i czuli się tutaj gospodarzami, zaczęli śruby przykręcać, nacjonaliści łotewscy trafiali do więzienia, organizacje powstawały.

W 1941 roku, jak Niemcy weszli do Rygi, powstały Konspiracyjne Oddziały Wywiadowcze. Organizacja podlegała wywiadowi - początkowo Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Zadaniem naszym było zbieranie informacji o ruchu wojsk niemieckich na terenie Łotwy. Organizacja działała osiem miesięcy, później została wykryta przez Gestapo i prawie

wszystkich członków aresztowano i osadzono w więzieniu. Jednak nie wszyscy zostali wykryci i po miesiącu następna grupa podjęła działanie, która ponownie została wykryta.

Chciałem wspomnieć jeszcze o tym, że jak nas aresztowali, to Niemcy nie ruszyli rodziców. Jak Rosjanie w 1945 roku po raz wtóry przyszli, myśmy byli w obozie w Sztuthofie i Rosjanie wiedzieli o tym. Wiedzieli, że była organizacja antyniemiecka, mimo to aresztowali ojca i matkę. Siedzieli tydzień w więzieniu. Wypytywali ich o organizację. Niemcy tego nie zrobili, a Rosjanie tak. Tacy oni byli, skrupulatni.

Po aresztowaniu i przesłuchaniach osadzono nas w więzieniu centralnym, następnie w terminowym. W więzieniu centralnym byliśmy dwa lata, a prawie pół roku w więzieniu terminowym. Tam byli polityczni i kryminaliści. Tak się nam udało załatwić z łotewskim strażnikiem, że jedna organizacja siedziała w jednej wspólnej celi, około 18 osób. Proces miał się odbyć po wojnie, tak nam powiedzieli.

Dopóki byliśmy z bratem Kazikiem w więzieniu w Rydze, nie odczuliśmy głodu. Rodzice wyprzedawali się ze wszystkiego, żeby tylko przysłać nam paczki.

Jak Rosjanie się zbliżali do Łotwy, były rozstrzeliwania w więzieniu. Wywoływali całe grupy, przede wszystkim Rosjan i Łotyszy, którzy należeli do organizacji komunistycznych (tam byli Polacy, Rosjanie i Łotysze), i rozstrzeliwali. Byli też spadochroniarze łotewscy, którzy służyli w radzieckim wojsku. Zostali złapani i wszystkich rozstrzelali. Ja byłem w więzieniu korytarzowym. Po takiej jednej akcji wywołali nas, żeby posprzątać. Powiedzieli, proszę wybierać, co tam chcecie. Ale, jak myśmy na to spojrzeli, zwymiotowaliśmy. Niemcy mieli takie charakterystyczne podejście, w nocy wchodził strażnik i zapalał światło i wywoływał: ten i ten z rzeczami proszę wyjść. Po pół g o d z i n i e z n o w u . Strach taki narastał w człowieku, żeby jego nie zabrali. Jeszcze przedtem, jak nas przewozili z jednego więzienia do drugiego, kazali nam wszystko zabrać tak, jak tamtym, tylko że to było w dzień i nie wiedzieliśmy, gdzie i po co. Myśleliśmy, że też idziemy na rozstrzelanie. Okazało się, że wsadzili nas do więziennych karetek i wieźli przez miasto do innego więzienia.

Wspomnę tu jeszcze o średnim bracie Stanisławie. W czasie wybuchu wojny pływał na statkach łotewskich, a po kolejnym rejsie do Gdyni uciekł ze statku i pieszo oraz okazjami dostał się do Rygi. Tutaj zaangażował się na przybrzeżnym lodołamaczu, który w krótkce zatonął. Później brat długo chorował i po wyzdrowieniu, gdy zaczęło go szukać Gestapo, "zamustrował się" na niemiecki statek i, gdy ten przepływał koło Szwecji, uciekł ze statku wraz z kilkoma marynarzami łotewskimi. Tam wykorzystali jego znajomość terenu w Lotwie. Brat pracował w konspiracji i na polecenie Londynu kilkakrotnie był w Rydze. Przeszkolili go, podjeżdżali łodziami do łotewskich brzegów, wysadzali go i on jako wywiadowca z aparatem radiowym kilka razy przechodził przez całą Łotwę. Szedł do Witebska, do Nowogrodu i tam zbierał wiadomości. Wracął z powrotem, w umówione miejsce, w umówionym dniu i łódź go przewoziła z powrotem. Żeby rodziców nie wplątać w tę historię, nie pokazywał się w domu. Tylko raz spotkał siostrę, kiedyś zostawił pieniądze - dolary. Matka mówiła: "Co to za anioł zostawił te pieniądze". Później przedostał się do Szwecji i tam

został przez cały czas okupacji. Wiadomości zbierał dla Londynu. Dostał jakieś odznaczenie, pochwałę za wzorowe wypełnianie obowiązków wywiadowcy.

Niemcy przegrali wojnę i we wrześniu 1944 roku pod naporem wojsk Radzieckich ewakuowano nas statkiem do Gdańska, następnie barkami do obozu koncentracyjnego w Sztuthofie.

Statek "Izar" wypływał i było tam chyba z kilka tysięcy osób stłoczonych. Rodzice dowiedzieli się, że nas ewakuują, bo była tam taka organizacja i powiadomili ich. Ja rodziców nie widziałem, widział ich brat. On się na siłę wydostał tam, gdzie zchodzili na pokład i tam widział rodziców. Statkiem wieźli nas przez Bałtyk do Gdańska, w międzyczasie Rosjanie chcieli ztorpedować statek, ale im się nie udało. My nie wiedzieliśmy, dokąd płyniemy .

Po wywiezieniu nas do Sztuthofu, poznaliśmy dopiero, co to jest głód i strach przed rozstrzelaniem.

W więzieniu przesiedzieliśmy dwa lata, w obozie pół roku, ale przecierpieliśmy o wiele więcej. Głód i choroby gnębiły więźniów i wielu kolegów z naszej organizacji nie przeżyło obozu.

W więzieniu myśmy siedzieli w celi i nic nie robiliśmy. Na początku nam nie pozwalali wychodzić, tylko na spacer. Później proponowali pracę w warsztatach, albo w ogrodzie przy centralnym więzieniu. Myśmy się tam zgłosili. Latem było tam bardzo przyjemnie. Kopaliśmy, plewiliśmy i budowaliśmy jakieś baraki dla innego obozu na terenie tego więzienia. Te dwa lata była względna swoboda.

Gdy przyjechaliśmy do obozu, musieliśmy wszystko oddać. Mogliśmy zostawić tylko buty i dali jakieś łachy w kratkę. To się nazywało "Cugangi". W tych "Cugangach" więźniów, których przywozili, ogołocili ze wszystkiego i do łazienek - taka "landara" , prysznic z zimną wodą. Tam nas pod tymi prysznicami niby umyli, a jeszcze przed tym ogolili wszędzie - i góra i dół, wszystko. Tych przyjsciowych strzygli do samej skóry, po środku głowy wygolili taki pasek. Najpierw byliśmy na bloku pierwszym. Później przechodziliśmy przez taki ośrodek polityczny i zapisywali kto, co i jak. Przez półtora miesiąca nie wolno nam było do pracy chodzić. Można było tylko chodzić dookoła baraku. Z rana były apele i trzeba było wstawać około godziny piątej, kto nie zdążył, tego bili. Szczególnie tych młodych, tych przyjsciowych. Ja na przykład dostałem pryczę, a buty musiałem zostawić na dole, bo to były piętrowe prycze. Rano budzę się, butów nie ma, ukradli. Ktoś mi dał jakieś drewniane trepy i w nich chodziłem. W ciągu tego miesiąca nas bardzo pilnowali i tak w kółko: apel, obiad, kolacja. Były też takie "ćwiczenia", mianowicie w nocy o godzinie około pierwszej wpadało "Kapo", "Lafer" - to był kierownik bloku. To byli najczęściej kryminaliści niemieccy, z zielonym trójkątem. Myśmy wszyscy mieli trójkąt czerwony jako polityczni, ale tam potem dawali wszystkim Polakom, co za świnię siedział, za ubój nielegalny i tak dalej, czerwony trójkąt. Blokowi i kapowie mieli taki rewir, w zasadzie grupę, z którą chodzili do pracy. "Kapo" chodził z takim kijem i walił, chciał popisać się przed Niemcami, przed tymi obozowymi. Oni o tej godzinie pierwszej, drugiej w nocy wpadali do bloku, zapalali światło i krzyczeli: "ale raus"! Wszyscy, niestety bez butów, biegli. To były takie ścieżki zdrowia. Pałami kogo uderzyli, kogo nie, to nie. Tam była zimna woda, prysznic. Każdy

się niby umył i z powrotem, bez wycierania i znowu pałami bili i do baraku i na prycze. Gdy już wszyscy się tam znaleźli, odbierali koc i mówili: "masz brudne nogi". Jak można było przejść bosą z czystymi nogami? Jeden, drugi, trzeci i znów cały blok do mycia. To było takie znęcanie się nad więźniami.

Po miesiącu weszli (jakiś Niemiec i blokowy) i zapisywali, kto jest rzemieślnikiem, kto co umie robić, i angażowali do pracy. Dużo podawało, że jest krawcem czy szewcem, a nic nie umiał. Potem cierpiał, bo oni to sprawdzili, że się nie nadaje. My z bratem zgłosiliśmy się do wyrębu lasu. Wyszliśmy raz, drugi raz i za drugim razem dwóch Rosjan uciekło. To było jakieś trzy kilometry od obozu. Jak tych dwóch uciekło, przyprowadzili nas z powrotem z psami i przed blokiem na placu ustawili. Przyszedł taki Niemiec, złośliwa bestia, no i "ćwiczenia", "gimnastyka": "Wstać!" "Padnij!" "Skakać!" - i tak w kółko. Jak ktoś nie potrafił, to kopał, bił. Tak męczył nas ponad godzinę. Starsi ludzie poupadali. Później ustawili nas i "kapo" idzie i mówi do mnie: "Ty się śmiejesz". Nikomu do śmiechu nie było. Ja mówię, że nie. A on: "Siadaj na kozła", i dostałem "batogiem" pięć razy. Wtedy poczułem. Drugi raz przychodzi i mówi do jednego: "Ty rozmawiałeś" - i dostał dziesięć razy. Później ten Niemiec mówi do "kapo": "Nie upilnowałeś, kładź się". Ten dostał dwadzieścia pięć batów.

W tym obozie z jedzeniem było bardzo źle i ludzie umierali, co starszy, to nie wytrzymał. Tam była zorganizowana grupa Polaków i jeden drugiemu pomagał. Byli w dobrej komitywie z jakimś blokowym, to Polaków wyciągali. Na tym bloku chodziliśmy budować baraki, do warsztatów i naturalnie już było lepiej, bo to były tak zwane bloki uprzywilejowane, nie było apeli i nie pilnowali tak. Później żeśmy się podzielili, brat był w innym i ja w innym bloku. Kiedy zachorowałem, dali mnie na rewir szpitalny. Pracowałem w warsztatach i coś robiliśmy z ostrej blachy i nożycami się zaciąłem. Mam taki ślad. Zaprowadzili mnie do takiego "pseudo" punktu opatrunkowego, ten popatrzył, zawiązał i mówi że będzie dobrze.

W każdym bloku było od 1000 do 1700 osób. Bloków było 15, czy wszystkie były pełne, niewiadomo. Było kilka bloków żydowskich. Żydów wykańczali. Wyprowadzali pod krematorium i rozstrzeliwali, albo do komór gazowych gazowali i później do krematoriów i palili. Później było tak dużo trupów, że kopali duże doły i w dołach kilka takich warstw - trupy, drewno - polewali benzyną i palili. Z Żydami robili tak przez cały czas mojego pobytu w Sztuthofie. Pamiętam, kiedyś szliśmy sami z bratem do pracy i widzimy, jak wóz ciągnęli więźniowie, nie było żadnych koni. Na wozie siedziało kilkanaście kobiet. Mówimy: dlaczego one płaczą?, bo wiozą ich do komór gazowych. To było straszne.

Do obozu przywieziono nas we wrześniu 1944 roku, a w styczniu 1945 roku ewakuowano nas na zachód przed następującymi wojskami Armii Czerwonej. W ciągu dziesięciu dni przeszliśmy pieszo około 200 kilometrów i nic więc dziwnego, że z naszego bloku do podoboju w Ganz koło Lemborka doszło około 800 osób z 1500, które wyszły ze Sztuthofu. Więc jak była ta ewakuacja, byłem akurat w szpitalu, brat oddzielnie i ja oddzielnie. Nasz blok poszedł swoją trasą, przez lód, przez Wisłę. Były mrozy i na rzece był lód, kilku tam utonęło. Jak szliśmy, to widzieliśmy,

że tu i tam leżą trupy przesypane trochę śniegiem i tylko słyszeliśmy z tyłu, jak strzelali do tych, którzy nie mogli iść. Strażnik szedł, to byli i Niemcy i Ukraińcy - popychał, tamten się wywracał, a ten strzelał do niego i szedł dalej. To był marsz śmierci. Strażnicy bez skrępowań strzelali do maruderów.

W Ganz były baraki, w których młodzież niemiecka odbywała jakieś ćwiczenia wojskowe. Teraz były puste. Tam nas zakwaterowali. Jedliśmy tam koninę. Tam też Polacy i Kaszubi paczki przynosili - dostawało się czasami chleb i masło wyjątkowo, margarynę, ewentualnie cukier. A tak gotowali w kotłach brukiew przede wszystkim, już patrzeć na to nie można było. Po kromce chleba dawali. Ziemniaków po kilka pływało w zupie. Jak ktoś dostał gęstą, to żywił się lepiej, jak nie, to gorzej.

Drugi brat uciekł z podobozu Ganz. Jak szliśmy kolumną z Gdańska do Ganz, on w czasie tego marszu uciekł. Tam sporo ludzi ginęło, sporo rozstrzelali, ale sporo też uciekło. Nas kwaterowali w szopach z sianem. On się umówił z jakimś Łotyszem (to był Łotysz, który był w SS, ale za jakieś kryminalne historie trafił do obozu), wszedł w kontakt z Ukraińcem-strażnikiem, coś mu tam dali, jakieś złoto, chyba, i uciekli. O miesiąc wcześniej niż ja był na wolności. Ale musiał się ukrywać w lasach. Spotkali Polaków - tych Kaszubów, powiedzieli, że są z obozu, to ich z jednego domu do drugiego, z jednej wioski do drugiej, przemycali. Przetrwali tam cały miesiąc. I na koniec niefortunnie wpadli. Rosjanie ich zatrzymali i zaczęli sprawdzać. I ten Łotysz ze strachu powiedział, że on należał do SS. Jak jeden należał do SS, drugi prawdopodobnie też. Brat opowiadał, że on był w obozie. Tamtego odseparowali, nie wiem, co z nim zrobili. Brata zakuli w kajdanki i przez dwa dni męczyli, żeby wydał, do jakiej organizacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu należał. Nawet go pobili tak, że ledwo mógł się podnieść. Jakiś major rosyjski go uderzył i on mu oddał. I wtedy go zbili. Takie "sztuczki" robili (sztuczki, jak sztuczki) : wzięli go z rana do lasu, kazali kopać dół i będą rozstrzeliwać. To było, chyba, tak ukartowane, myśleli, że się przyzna. Traf chciał, że przechodząc kiedyś wkoło takiego miejsca, gdzie Rosjanie zgromadzili wszystkich więźniów, jedna Rosjanka, chyba komunistka też, poznała, że on był w więzieniu w Rydze. Wypuścili go. Tylko w ten sposób się uratował. Mógł źle skończyć.

W podobozie w Ganz siedzieliśmy jeszcze półtora miesiąca, aż wreszcie zaczęto nas ewakuować do Pucka. Trzy dni nas pędzili z Ganz do Pucka. W ciągu trzech dni i nocy szliśmy wśród huku artylerii radzieckiej i niemieckiej, w dzień i w nocy nas pędzili na wschód do Pucka, żeby nas zaokrętować i wywozić. Kolumna w ostatni dzień wyszła na szosę, a myśmy stali jeden przy drugim i ogrzewaliśmy się. Trzech więźniów zaczęło uciekać, może czterech. Ukraińcy i Niemcy też zgłupieli. Nie wiedzieli początkowo, co robić i zaczęli strzelać. Jednego trafili, drugiego trafili, trzeciego już bardzo daleko i też trafili. Za czwartym poszedł w pogoń Ukrainiec z psem. Dobiegł do niego i zaczął go kijem okładać. Szli w stronę kolumny i jak już byli niedaleko, popchnął go na ziemię i zastrzelił. Nie udało się ucieczka temu biedakowi. Wraczał do kolumny z takimi opuszczonymi oczami.

Front był dosłownie o kilometr, pół kilometra Rosjanie od

Niemców. Jak myśmy śli drogą, z jednej strony, gdzieś 50 m, stały aarmaty niemieckie i Niemcy walili na wschód. A stamtąd leciały pociski rosyjskie. Ale jakoś nie trafiały w nas. Samoloty leciały rosyjskie nad nami jakiś czas, później pomachały skrzydłami i poleciały dalej. Może zorientowali się, że jesteśmy więźniami, że to nie wojsko. Jeszcze w samym obozie, w Sztuthofie, Niemcy pozwolili nam ubierać się w cywilne ubrania. Dawali cywilne ubrania, tylko farbą, co to nie schodzi, malowali duże krzyże z tyłu na plecach i na spodniach, żeby nie móc uciec i powiedzieć, że jest się cywilem.

W Pucku nas zostawili. Wsadzono nas do miejscowego więzienia, a w nocy kazano nam wychodzić, ale większość została w więzieniu. Nad ranem Rosjanie nas wyzwolili. W Pucku byłem tydzień, a później wyruszyłem z kolegami do Wejcherowa, ale w drodze zachorowałem na tyfus plamisty. Okazało się, że zaraziłem się od chłopca żydowskiego w więzieniu w Pucku. Parę dsiesiąt Żydów, którzy tam gdzieś pracowali, do tego więzienia wepchnęli. Stał przy mnie, rozumiał po polsku i mówię do niego: "Co ci jest?" A on, taki nieprzytomny, mówi: "Choruję na tyfus". Ja patrzę i tak po nim wszy łążę. Ponieważ było tak ciasno, nie można było leżeć ani siedzieć, stał jeden przy drugim, dostałem tyfus i zachorowałem. Przeleżałem nieprzytomny dwa tygodnie u jakiejś rodziny kaszubskiej. Nie pamiętam ani nazwy wsi, ani otoczenia. Po tych dwóch tygodniach, jak wracałem do zdrowia, słabo słyszałem, widziałem jak przez siatkę. Razem z kolegą chorowaliśmy i obaj nie zmarliśmy. Jak podobno rozmawialiśmy ze sobą, tak mówiła gospodyni, krzyczeliśmy, a nam się wydawało, że mówimy normalnym głosem. Pozostałość tej choroby spowodowała, że wzrok mam gorszy niż powinienem mieć, słuch przytępiony. Już od dłuższego czasu pamięć zawodzi i to jest najgorsze. To wszystko to pozostałości po chorobie. Ta gospodyni opiekowała się nami tylko dla tego (tak mi się zdaje, bo kto by zatrzymał chorych na tyfus), że miała dwie córki. Rosjanie co rusz przychodzili i jak gdzieś mogli, to gwałcili kobiety, niewiasty. Oni byli Kaszubi i Rosjanie uważali ich za Niemców. Ale jak ona mówiła, że tu są dwaj więźniowie z obozu i są chorzy na tyfus, natychmiast wychodzili i nie ruszali. Raz tylko, pamiętam jak przez mgłę, budził mnie ktoś. Patrzę, stoi ktoś przy łóżku z taką pepeszą i dokumenty chce. Ja miałem wydaną przepustkę przez władze radzieckie w Pucku, że jesteśmy z obozu i idziemy do Warszawy, tę mu podałem i więcej nas nie ruszali.

Więc po dwóch tygodniach poczułem się lepiej i z kolegą ruszyliśmy do Torunia, gdzie jeden z naszej grupy więziennej miał rodziców. To był Polak, pilot, który uciekł właśnie na Łotwę i nie pozwolił się skoszarować w obozie, tylko cywilne ubranie i jakieś tam dokumenty wyrobił i został w Rydze na wolności. Należał do naszej grupy, był przywódcą naszej trójki w Rydze. Nazywał się Seweryn Faleński, a tam się nazywał Waldemar Przyborowski, zmienił nazwisko. Niemcy i tak doszli do tego, że jest pilotem, jak nas już aresztowali. On pochodził z Torunia i tam miał rodziców. W Toruniu przez tydzień byłem w Polskim Czerwonym Krzyżu i tam dowiedziałem się, że mój brat Kaziu jest w Wejcherowie, więc pojechałem tam. W Wejcherowie pracowałem przez trzy miesiące jako tłumacz polsko-rosyjski w Starostwie Morskim w Wejcherowie.

Taką przepustkę dali mi Rosjanie. To ja sam pisałem, oni

tylko potwierdzili. To jest zaświadczenie, że byłem w obozie i że jestem w Wejherowie zameldowany. Ale dokumentów specjalnych nie miałem, tylko zaświadczenie, że pochodzę z Rygi, urodziłem się w Szlisselburgu.

Tu mam zaświadczenie, że Państwowy Urząd Repatriacyjny - Oddział Gdańsk - zaświadcza, że taki i taki jest Polakiem, że pochodzi stamtąd i że na razie mieszka na terenie Polski. To był mój główny dokument na początku. W 47r. dostałem obywatelstwo polskie na podstawie tego, że byłem czystym Polakiem, że byłem w obozie, że Urząd Repatriacyjny uznał, że jestem repatriantem. Musiałem formalnie wystąpić o przyznanie mi obywatelstwa. Mało tego, była taka sytuacja, że kazali wszystkim Polakom - nie obywatelom polskim (z Łotwy czy z innych miejsc) zgłosić się w Konsulacie Rosyjskim, tu w Poznaniu. Kazali im wracać "na rodzinu". Ja nie poszedłem, inni też nie poszli.

Myśmy byli obywatelami łotewskimi, w 1923 r. dostaliśmy obywatelstwo łotewskie. W 1940 r., jak Rosjanie weszli, dostaliśmy obywatelstwo radzieckie. Niemcy tego obywatelstwa nie uznawali, ale nie dali nam innego dokumentu. Jak Rosjanie przyszli tutaj, powstała Polska, repatriowali przez Urząd Repatriacyjny, ale nie dali jeszcze obywatelstwa polskiego. Ci, co mieli obywatelstwo polskie do II wojny światowej, automatycznie zostawali obywatelami polskimi, nic nie potrzebowali. Natomiast ci ze Wschodu, nie tylko z tych ziem, co Rosjanie przyłączyli z dawnej Polski, ale jeszcze dalej, ci nie mieli obywatelstwa polskiego i musieli dostać od Urzędu Repatriacyjnego takie zaświadczenie i później musieli występować o przyznanie obywatelstwa. I tu napisali, że "zrzekam się obywatelstwa radzieckiego". Napisane jest "rosyjskiego", dla urzędnika nie miało to znaczenia, rosyjski czy radziecki.

Dowiedziałem się o zapisach na studia w szkole inżynierskiej w Poznaniu. Pojechałem do Poznania, zapisałem się na wydział elektryczny i po trzech latach studiów otrzymałem tytuł inżyniera elektryka. Po studiach pracowałem w Polskim Radiu, a następnie w 1950 roku podjąłem pracę w Poznańskim Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego, gdzie pracowałem do 1982 roku. W międzyczasie poznałem siostrę kolegi ze studiów i ożeniłem się w 1950 roku. W 1951 r. urodził nam się syn Jacek, a w 1953 r. córka Elżbieta.

W latach 1955 do 1982 często podróżowałem z rodziną za granicę. Zwiedziliśmy pół Europy i często byliśmy w Rydze. Po wojnie zostali tam rodzice i siostra.

Były wielokrotne starania po wojnie o powrót do kraju, ale nie było żadnego rezultatu. Pisałem podanie do premiera Osóbki-Morawskiego, do Cyrankiewicza, do Gierka i wciąż otrzymywałem odpowiedzi, że rodzice nie mogą się repatriować, bo nie byli obywatelami polskimi. Przecież do pierwszej wojny światowej nie było Polski jako samodzielnego państwa, to jak mogli mieć obywatelstwo polskie? Rodzice zmarli na Łotwie i tylko siostra z rodziną po wielkich staraniach mogła przyjechać do Polski, za Gierka.

Pisałem do Osóbki-Morawskiego wtedy, kiedy on był premierem, że rodzice mieszkali tam, ale matka pochodzi z Polski, że proszę o repatriowanie moich rodziców i siostry tutaj do Polski. Zostałem wezwany do Komitetu Woj. PPR w Poznaniu, to był rok 46. Tam rozmawiałem z sekretarzem PPR i on mówi: "Towarzyszu, my

możemy się postarać, ale musicie się zapisać do partii". Mówię: "Jaka jest pewność, że rodzice wrócą?". -"Takiej 100% pewności nie mamy, ale będziemy się starali". Ja mówię: "Nie, dziękuję, za taką cenę nie".

Później, w 56 r., jak była odwilż, napisałem do Cyrankiewica, on był wtedy premierem. Napisałem do niego z prośbą o repatriację, umożliwienie powrotu do kraju. Trwało to długo, długo nie miałem odpowiedzi żadnej. Matka wtedy pojechała do Moskwy, do Ambasady Polskiej. Tam ją strasznie potraktowali. Nie wiem, czy byli uprzedzeni do tych innych Polaków. Załatwili ją odmownie. Ona tam płakała. Wróciła do Rygi, nic nie załatwiła. Ja pisałem drugi raz, dlaczego nie ma odpowiedzi. I dostałem odpowiedź, że ponieważ rodzice nie byli obywatelami polskimi do I wojny światowej, a przed II wojną światową byli obywatelami łotewskimi, nie można ich repatriować.

W międzyczasie pozwolili nam wyjechać do Rygi, raz, następnego roku drugi raz. Później w 57 r. mama przyjechała tutaj. Kiedy przejechała granicę polsko-rosyjską, to tak patrzyła i nic nie widziała, tak płakała, tak łzy jej ciekły. Przedtem była w Polsce w 28 roku. Jej siostra z Warszawy zaprosiła ją, opłaciła podróż.

W 58 r. ojciec zmarł, to myśmy tam pojechali. Później co roku, albo myśmy jechali do Rygi, albo stamtąd ktoś przyjeżdżał. Siostra przyjeżdżała, albo matka przyjeżdżała.

Ponownie o repatriację zacząłem się starać jeszcze raz, jak mama zmarła, w roku 1972. Wtedy właśnie pisałem do Gierka. Przez miesiąc czasu nie było żadnej odpowiedzi. Później zostałem wezwany do kancelarii do KC. Przyjechachalem do KC, z sekretariatu posłali mnie do jednej pani, chyba była adwokatem i opowiedziałem jej wszystko od początku. Ona powiedziała: "Proszę czekać, zobaczymy, co się da zrobić". W międzyczasie przychodziła milicja, sprawdzała, jak mieszkamy, jakie są warunki. Po miesiącu dostaliśmy odpowiedź - Owszem, siostra z mężem i dziećmi może przyjechać do Polski, ale my musimy zapewnić zakwaterowanie i utrzymanie. No, to myśmy się zgodzili. Siostra była ciężko chora na nowotwory, które były rozsiane w całym organizmie, tak, że przetrzymała chyba pół roku. W zasadzie już nie chciała jechać, tylko dla swoich dzieci przyjechała tutaj. A syn jej nie przyjechał, był akurat po wojsku i nie wypuszczali go, bo tajemnice państwowe znał różne. Córka jej Basia, bardzo energiczna dziewczyna, poszła najpierw zameldować się do Konsulatu w Poznaniu i tam natrafiła na młodego urzędnika, który najpierw krzyczał na nią, że tu jest wasza władza w Konsulacie. Później jakoś przypadła mu do gustu. Za jego poręczeniem i z jego pismem poszła do Zarządu Miasta i dostali mieszkanie. Ona też postarała się, że ojciec dostał pracę. On jeździł po całej Polsce i nigdzie nie przyjmowali. Ale teraz ci też pismo napisali i teraz widać, jak my byliśmy uzależnieni od Rosjan. Później dostała się na studia. Najpierw studiowała w Rydze na ekonomii i była na trzecim roku, tu dostała się na studia też na trzeci rok ekonomii. Musiała zdać kilka egzaminów i skończyła studia. Mieszka w Kaliszu, wyszła za obywatela polskiego i teraz ma już trójkę dzieci.

Bardzo żałuję, że rodzice nie przyjechali. Oni by tutaj odżyli. Tam ojciec pracował w chłodni jako dozorca, matka pracowała w szpitalu, jeszcze w czasie wojny, w 45 r. Każdy

musiał pracować, musiała tam sprzątać, także ciężko im było.
Żyje mój kolega Faleński, (jest w Szczecinie), mój brat.
Dwóch kolegów jest w Warszawie.
Nagrała: Eva Zamojska
Spisała:
Opracowała: Eva Zamojska
Poznań, 28 kwietnia 1994 rok
Ośrodek KARTA w Poznaniu, Archiwum Zachodnie
(wersja nieautoryzowana)